Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 32.
dnia 10. Lipca 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . . 2 zł.
półrocznie . . . . 4 zł.
rocznie . . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

TOM II.

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz mieszkańcy pałacu wstali wcześniej niż zwykle. Gość miał odjechać pociągiem południowym, a przed odjazdem należało zakończyć sprawę małżeństwa i wyznaczyć dzień ślubu. Co do warunków, w jaki posag miał być wypłacony, to już zięć i teść przy współudziale pani Sary dokładnie omówili.

Wielkie było zdziwienie ojca, gby Róża wszedłszy do jego pokoju, najpierw go w rękę pocałowała, potem głosem spokojnym, acz lekko drżącym, oświadczyła, że nie będzie żoną Salomona Rosenzweiga. Ojciec słysząc to, począł oczy przecierać. Był pewny że śni... Człowiek jak on praktyczny, przyzwyczajony patrzeć na małżeństwo, jak na każdy inny interes, nie mógł zrozumieć oporu dziewczęcia, które w związku dwóch istot płci odmiennej szukało czegoś więcej niż pieniędzy i dobrobytu. Przekonawszy się jednak, że nie spi, zaczął córce perswadować, a gdy to nie pomogło, najwyższym gniewem uniesiony przywołał żonę i narzeczonego. Trzeba go teraz było widzieć jak po pokoju biegał, jak krzyczał, jak się pienił! Żona z wszystkich sił mu pomagała i przyskakując z gniewem do Róży, pięściami jej groziła. Najprzyzwoiciej jeszcze zachowywał się sam narzeczony. Założywszy wielki palec za kamizelkę, spoglądał czas jakiś drwiąco na krzyczących małżonków, a potem na piętach się obróciwszy, wyszedł do drugiego pokoju. Gdy się drzwi za nim zamknęły, krzyk jeszcze się spotęgował. Stern mówił dotąd ciągle po niemiecku, Rosenzweig bowiem po polsku nie rozumiał, a tylko jego żona złorzeczyła córce w żargonie żydowskim. Teraz już oboje krzyczeli po żydowsku, charcząc, plując i nogami tupiąc. Córka stała spokojnie jak posąg.

Nie długo potem pan Salomon odjeżdżał na kolej z zapewnieniem Sterna, że do kilku dni przełamie niewytłumaczony opór córki, Rózia zaś zamknąwszy się w swoim pokoju gorąco Bogu dziękowała, że tę pierwszą burzę pozwolił jej przetrwać szczęśliwie.

Małżonkowie Jakób i Sara Stern nie należeli do ludzi, których byle niepowodzenie przestrasza. W życiu byli oni zawsze konsekwentni i wytrwali, to też dzięki tym przymiotom doszli do miljonów i wpływów. Widząc niechęć córki do ułożonego przez nich małżeństwa, dali jej dwa dni pokój, by za to trzeciego dnia z tem większą uderzyć na nią natarczywością. Rózia i ten atak zwycięsko odparła. Odtąd w pałacu Sterna było ciągłe piekło. On i żona gniewali się od rana do wieczora, Rózia zaś była ciągle zapłakana.

Ojciec nie mógł zrozumieć, z kąd się w jego jedynaczce wziął ten upor. Wprawdzie lubiła psy, ptaki, kwiaty i inne rzeczy niepraktyczne, lecz obok tego była zawsze dzieckiem słodkiem, które w ważnych rzeczach nie przeciwiało się woli rodziców. Nagle, i to wtedy, gdy się tego najmniej spodziewał, występuje z energją, jakiej dotąd w niej się nie domyślał, i na jego prośby, zaklęcia, w końcu na groźby, odpowiada krótkiem a zimnem: nie! — Co jej jest? — pytał się w duchu i troskliwie zaczął szukać przyczyny. Kto wie czy by ją był znalazł, gdyby nie jedna okoliczność. Oto ilekroć

ją zapytywał, czemu nie chce poślubić Salomona Rosenzweiga, odpowiadała, że postanowiła nie wyjść nigdy za mąż. Tem się zdradziła. Dziewica, która tak mówi, ma jakąś tajemnicę na dnie serca, z którą boi się wyjawić. Ona nie chce wyjść za mąż, ponieważ ten, którego kocha, nie może być jej mężem... Rozwiązanie tej zagadki było by łatwe dla każdego ojca, tylko nie dla Sterna. Wychowany w pojęciach realnych, wykluczających wszelką idealność, o miłości ani myślał, i dla tego nie mógł prawdy uchwycić. Dopiero gdy jakiś szlachcic z sąsiedztwa, przed którym zwierzył się ze swojem zmartwieniem, zapytał go od niechcenia, czy jego córka przypadkiem z kim innym się nie kocha, uderzył się dłonią w czoło i do domu wróciwszy zaczął Rózię badać.

Ta jednak zręcznemi odpowiedziami prędko go zmyliła, tak że na kilka dni przestał ją nudzić. Nie dał atoli za wygranę i coraz bardziej utwierdzając się w przypuszczeniu, że nic innego, tylko to będzie prawdą, po niejakim czasie zaczął wypytywać najpierw sługi, które nic nie wiedziały, następnie garbusa, który udawał, jakoby nic nie wiedział, w końcu arendarzów tak swoich jak obcych. Dopiero teraz wpadł na trop właściwy.

Moszko, arendarz i teraźniejszy administrator Starejwsi, który słyszał jak trawa rośnie, opowiedział mu szczegółowo, jak Ryszard poznał się z jego córką na Ekonomówce przy łożu chorego jej mieszkańca, jak on ją odprowadzał do kładki, jak potem nagle przestał się z nią widywać. Stern usłyszawszy to w pierwszej chwili zaklął straszliwie, jednakże powoli zaczął się uspokajać i nim Rózię tego dnia zobaczył, wyglądał już jak człowiek, który się przekonał, że pierwsza jego trwoga była zbyteczną.

Dłuższy czas, prawie tydzień, ani jej o tem wspomniał; nawet przed żoną głęboką tajemnicę zachowywał, dopiero gdy się z myślą oswoił, która mu umysł zaprzątała, wszedł do pokoju córki i w te słowa przemówił:

— Pamiętasz Róziu, jak to raz, kiedym się gniewał na ciebie, że do chorych chodzisz i pieniądze niepotrzebnie wydajesz, mówiłaś mi, iż to czynisz dla mojego dobra, bym kiedyś łatwiej posłem został? Pamiętasz Róziu?

— Pamiętam tatku...

— Kiedyś nie zapomniała, więc może mi teraz pomożesz... Za kilka miesięcy będziemy mieli wybory do Rady państwa, i ja będę się zwowu o mandat ubiegał. W całym kraju mam samych przyjaciół, z wyjątkiem tego Gozdawy, co *Przyszłość* redaguje. Ty go pono znasz, Róziu?

— Tak jest... spotykałam go u chorych — szepnęła, oczy w dół spuszczając.

— Ty nie wiesz jak on mi dotąd szkodził! No, ale to się pewnie zmieni, jeźli za mną słówko napiszesz.

— Jakto, ja mam pisać do pana Ryszarda Gozdawy?

— No, a co to szkodzi, przecie ja ci pozwalam! Zresztą ty napiszesz tak delikatnie, że ani siebie ani mnie nie skompromitujesz... Najlepiej jeżeli mu powiesz, że jako znajoma spodziewasz się, iż ojca twego nie będzie prześladował. Ciebie to nic kosztować nie będzie, a ja mogę na tem zarobić. Więc cóż, napiszesz?

Rózia była zakłopotana.

— Doprawdy, tatku, nie wiem czy wypada.

— Ale wypada Róziu, czemu by nie miało wypadać... Napisz moje dziecko jeszcze dziś, a jak list skończysz, to mi go przeczytasz. Ja wiem Róziu, że ty kochasz swego ojca...

Przystąpił do niej i pierwszy raz od kilku tygodni po twarzy ją pogłaskał.

ROZDZIAŁ VI.

LISTY I WIZYTY.

Ryszard wiedział, że na nowej drodze będzie miał nie jednę trudność do zwalczenia, pracował więc spokojnie i wytrwale, niczem się nie zrażając. Kapitał swój podzielił na dwie połowy. Pierwszą przeznaczył dla dziennika, za drugą wydzierżawił na Podolu wioskę niewielką, lecz dobrze zagospodarowaną, mającą piękny inwentarz, pszenną ziemię, łąki i młyny. Ponieważ sam w mieście mieszkał, więc gospodarstwo oddał w opiekę zdolnemu agronomowi, którego mu polecono.

Dzierżawę zawarł cichaczem, tak że prócz Stanisława, z bliższych jego znajomych nikt o tem nie wiedział. A i Stanisława prosił, by nikomu o niej nie wspominał. W jakim to celu uczynił, zwłaszcza że na wsi nie miał nigdy mieszkać, to nawet dla jego przyjaciela była zagadką. I on nie pytał jednak o powody, osądziwszy, że muszą być ważne, skoro sam Ryszard o nich nie wspo-

mina. Już to Stanisław postępował zawsze z wygórowaną delikatnością, świadczącą o jego sercu szlachetnem.

Przyszłość wychodziła regularnie i była starannie redagowana, lecz chociaż nie jeden nazywał ją pismem znakomitem, jakiego w kraju dotąd nie bywało, liczba prenumeratorów tak powoli się zwiększała, że każdego tygodnia trzeba było znaczne pieniądze dokładać. Ryszard dokładał bez szemrania, ufając, że wytrwałością prędzej lub później zwycięży.

Teraźniejszość jak grób o niej milczała, sądząc że milczeniem najprędzej ją zabije; mimo to w kilku jej działach, najczęściej w kronice, którą czasami układał sam Żylewicz, znajdowały się niekiedy złośliwe uwagi tak o *Przyszłości*, jak jej redaktorze, ale ponieważ piszący nazwisk nie wymieniał, więc zaledwie wtajemniczeni w sprawy dziennikarskie mogli się domyśleć, do kogo właściwie *Taraźniejszość* piła. Że Ryszard zawsze się domyślał, o tem wątpić nie można, a lubo w duchu sobie powtarzał, że go to nic nie obchodzi, każdym razem po przeczytaniu takiej wycieczki, był rozdrażniony i dłuższego czasu potrzebował zanim się uspokoił.

Wycieczki Żylewicza były zawsze jadowite i grubjańskie. Oto jedna z nich na próbę:

„Kiedy cały świat cywilizowany — pisał pewnego dnia w artykule wstępnym — jedną myślą ożywiony, stara się dla dobra cywilizacji i ludzkości utrzymać Turcję w Europie, wtedy tylko „chirurgi“ polityczni, półgębkiem przebąkują, że Turcja prędzej lub później z Europy musi ustąpić; a kiedy Polska cała wierzy głękoko, że wojna na Wschodzie spowoduje powszechną wojnę europejską, z której ojczyzna nasza wynurzy się jak feniks z popiołów, wtedy tylko jacyś politycy „przyszłości“, którym widocznie ruble smakują, świętokradzką ręką piszą nam przestrogi, byśmy cicho siedzieli i niczem się nie łudzili. Że też społeczeństwo nasze znosi jeszcze takie indywidua dwuznaczne i niebezpieczne!“

Na te zaczepki Ryszard nie odpowiadał, tylko dalej pracował, śledząc bacznie co się w koło niego działo.

Czasy były nadzwyczaj ważne. Serbja i Czarnogóra pokonane przez Turcję, wyglądały pomocy, z którą Rosja spieszyła. Każdej godziny nad Dunajem miały działa zagrzmieć. W Galicji ci wszyscy, dla których niczem są doświadczenia przeszłości, marzyli o legjonach pod opieką Turcji, o powstaniu w ziemniach polskich pod panowaniem rosyjskiem, o Polsce od morza do morza. Idąc za wrażeniami, nie słuchali uwag roztropnych i święcie wierzyli, że już wybiła godzina naszego zbawienia. Ich organem i sztandarem była *Teraźnicjszość*. Za przymiot prawdziwy należy im jednak poczytać, że ich ułudy i pragnienia wypływały ze źródła najczystszego, ze szlachetnej miłości ojczyzny, dla której byli gotowi życie poświęcić. Ich to poprzednicy byli niegdyś twórcami Legjonów Dąbrowskiego, ojcami powstania Listopadowego, kierownikami krwawych walk w W. Ks. Poznańskiem w r. 1848 i nieszczęsnej zawieruchy z r. 1863. W epoce naszego opowiadania stosunki były wszakże o tyle lepsze od dawniejszych, że gdy przed laty prawie naród cały, a przynajmniej część jego myśląca, składała się z samych gorących, dziś obóz umiarkowanych był już tak liczny, że szaleńców mógł w niebezpiecznych zapędach powstrzymać.

Do tych roztropnych i umiarkowanych, należał także nasz przyjaciel, to też *Przyszłość* co dzień wołała: Nie łudźcie się, tylko spokojnie pracujcie! Nie podobało się to gorącym, a że wyrozumiałość i sąd sprawiedliwy nie należy nigdy do naszych cnót narodowych, więc o *Przyszłości* i jego redaktorze zaczynały krążyć co raz gorsze wieści...

Nasz przyjaciel walcząc z zapaleńcami, znalazł się jednak w tem niemiłem położeniu, że nie mógł także liczyć na poparcie wszystkich umiarkowanych. Wprawdzie ci byli przeciwni tak legjonom, jak w ogóle wszelkiemu mięszaniu się Polaków w sprawy wschodnie, lecz z drugiej strony nie przestali marzyć o mocarstwach zachodnich, a głównie o Austrji, która według ich przekonania dla własnego zbawienia będzie musiała przywrócić Polsce byt polityczny. Ryszard przeciwnie nie wierzył ani w Zachód, a w tem mniej w Austrję, o której mówił, że do wielkich czynów nie ma ani siły ani dobrej woli, a do zbawienia innych narodów brak jej wszelkich warunków. Taką politykę podzielali nieliczni między umiarkowanymi i dla tego to *Przyszłość*, jako organ jednostek, nie kraju całego, z trudnością czytelników zdobywała.

Wiedząc, jak łatwo najlepszą sprawę popsuć porywczością, Ryszard nie wypowiadał swoich przekonań otwarcie i stanowczo, tylko ile możności oględnie, chcąc by niepostrzeżenie umysły przenikały. Udawało mu się to wybornie, tak dalece, że ledwie najbystrzejsi zaczęli się domyślać, iż

Przyszłość jest dziennikiem, jakiego u nas dotąd nie było, który zrywając z wszystkiemi programami, chce rzeczy nowej, jakiejś polityki przyszłości, która by była zbawienniejszą dla narodu niż dotychczasowa...

Zajmując się polityką, nie zapominał o sprawach społecznych, do których zaliczał w pierwszym rzędzie sprawę żydowską. Stanowisko, jakie w obec niej zajął, da się określić niewielą słowy: Żydzi są u nas przybyszami, którym myśmy dali wspaniałomyślnie przytułek. Lubo skrajny materjalizm, któremu hołdują, groźnym jest dla naszej rasy, my ich nie tylko nie wypędzamy, przeciwnie nawet za współobywateli chętnie ich uznamy, byle oni sami chcieli zżyć się z naszym organizmem. Do póki jednak to nie nastąpi, i żydzi galicyjscy nie przestaną kształcić się na liberalizmie wiedeńskim, który jest dla nas zabójczym, dopóty w obec nich będziemy zajmowali stanowisko odporne, a gdyby złe zamiast zmiejszać się, raczej się zwiększało, nie zawahamy się zażądać, by im równouprawnienie odebrano.

Rzecz nie trudna do zrozumienia, że ilekroć nasz przyjaciel w tym duchu pisał o żydach, miał zawsze na myśli takich jak Jakób Stern, którzy w W. Ks. Poznańskiem przeszli już wszyscy do obozu niemieckiego, a w Galicji, mimo iż grają rolę Polaków, w głębi duszy są największymi wrogami naszej narodowości. O żydach w Królestwie Polskiem nigdy nie wspominał, nie znając bowiem dokładnie tamtejszych stosunków, nie chciał o nich sądu wydawać.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HISTORJA PARYŻANKI

NAJNOWSZA POWIEŚĆ OKTAWJUSZA FEUILLET.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Nic silniej nie wstrząsa naszym ustrojem moralnym, niżeli odkrycie słabości u tych, którzy dla nas byli uosobistnieniem dobra i zacności; czy oni są naszymi krewnymi, przyjaciołmi, lub przewodnikami. Gdy raz przestajemy szanować tych, którym dotąd ufaliśmy bez granic i cześć im niemal oddawali, zaczynamy wątpić o cnocie samej; boć oni byli dla nas tejże obrazem. Bóstwa fałszywe każą nam podejrzywać nawet religji moc i doskonałość.

Dla tej przyczyny, nie koniecznie słusznej, dającej się jednak łatwo usprawiedliwić, pani de Maurecamps, przekonawszy się o całej nędzy moralnej u swojej przyjaciółki, popadła w owe wątpliwości i zniechęcenia, o tyle bolesne, o ile są niebezpiecznemi. Nadto szlachetna, aby zerwać gwałtownie i ostentacyjnie, węzły przyjaźni, która była jej tak drogą i o której wiedział świat cały, czuła jednak, iż przyjaźń ta więcej nie istnieje. Kochała zapewne w pani d'Hermany jej przymioty istotne, stokroć jednak więcej owe, w które ją sama ustroiła. Świetna aureola, którą lubiła otaczać jej czoło, zniknęła na zawsze, a nawet w błocie zgasła, jak słońce z ogni sztucznych, na ziemię rzucone i ostatecznie w nią wdeptane.

Byłaby jej darowała miłość występną, byle przedmiot był tego godnym; byłaby jej darowała Petrarkę, Danty, lub Göethego, lecz nie mogła jej przebaczyć takiego jak Saville goga, nie mogła jej zapomnieć udanej przesady, w okrywaniu tegoż śmiesznością, nie mogła najbardziej darować jej, iż kusiła się o zdemoralizowanie jej samej, odsłaniając przed nią przewrotne teorje z pychą szatańską, a miała do pani d'Hermany żal tem sroższy, im więcej czuła, iż się tejże przez pół udało, i że kropla po kropli, trucizna zadana, po żyłach krążyć zaczynała.

Pod wrażeniem tego nowego zawodu, Joanna istotnie patrzyła na świat, z coraz mniejszemi ułudami, i z coraz mniejszym optymizmem. Wzrokiem doświadczeńszym przenikała to, co się w koło niej działo; różne uwagi, które dotąd jako oszczerstwa poczytywała, zdawały jej się teraz doprawdy podobne; wiele stosunków, które dotąd wydawały jej się zupełnie niewinnemi, zrobiły się dla niej podejrzane. Przedtem widziała na świecie więcej cnoty, niż jej było kiedykolwiek, obecnie zaczynała wierzyć, iż cnota wcale nie istnieje. Pytała więc sama siebie, czy nie jest istotnie, jak to utrzymywała pani d'Hermany, jednostką w swoim rodzaju, czy jej uczucia i jej pogląd na życie, a w szczególności miłość, nie jest wynikiem sztucznego wychowania, i wyobraźni oszukanej, przez chorobliwe mrzonki poetów — czy wreszcie nie lepsze używanie jakiekolwiek, od zupełnej nicości. — Rozczulające to, i przejmujące zarazem, widzieć młodą, uczciwą kobietę, stojącą na owem rozdrożu, nieuniknionem wśród życia światowego, szamocącą się wśród srogich udręczeń, i gotową wpaść ze zbytku ideału, w realizm najskrajniejszy.

Oprócz filozofów, znajdzie się zawsze garstka ciekawych, którą zainteresuje tego rodzaju dramacik. Świat jest pełen ludzi, którzy nie mają nic lepszego do roboty,

którym się zdaje, iż znajdą własny rachunek na końcu, radziby przyspieszyć dramatu rozwiązanie. Najdowcipniejszym pod tym względem, był podówczas hrabia de Monthélin, wielce znany wielkiemu światu paryskiemu. Pan de Monthélin, trudnił się wyłącznie miłością, co samo przez się, stanowiło pewną zaletę w oczach pań. Nie grał w karty, nie palił tytoniu, i tylko nader rzadko bywał w klubie. Gdy po obiedzie wszyscy panowie, wynosili się do fajczarni, on jeden zostawał z kobietami. Wszystko to przedstawiało dla niego wielkie korzyści, i nadawało pewne prawa, których chętnie nadużywał. Nie pierwszej młodości, był jeszcze nadzwyczaj elegancki, bardzo wymowny, z pozoru człowiek rycerski i honorowy, z sercem, które było istnym stekiem zepsucia. Poświęcił życie, dość już długie, aby wietrzyć małżeństwa bliskie rozbicia, i zadawać im cios ostateczny. Była to jego specjalność. Dwa czy trzy szczęśliwe pojedynki, z których jeden odbył z hrabią de Lerne, za co tenże przezwał go rekinem salonowym — podniosły do szczytu jego reputację.

W zimie, następującej po owym sezonie kąpielowym, który dwie przyjaciółki w Dauville przepędziły, było widocznem, iż hrabia de Monthélin uważał panią de Maurecamps, jako zdobycz prawie dojrzałą. Uważano iż coraz więcej zaprzyjaźniał się z panem de Maurecamps, ścieśniając przytem sieci, któremi otaczał jego żonę. Coraz częściej odwidzał ją o zmroku, urządził swój czas w ten sposób, iż zawsze ich ekwipaże skrzyżowały się w lasku, a również nigdy nie omieszkał znaleść się u niej w loży, w piątek w wielkiej operze, we wtorek w teatrze francuzkim.

W głębokim rozstroju moralnym, i w swojem rozpaczliwem osamotnieniu, Joanna doświadczała, prawie się nie broniąc, owego wpływu fatalnego, który zawsze wywiera na jej płeć wola niezłomna i na wszystko zdeterminowana mężczyzny. Czuła się odurzoną ewolucjami, nader przebiegłemi i niezmordowanemi, któremi otaczał ją pan de Monthélin. Zaczynała mu już udzielać pewnych łask i prerogatyw, które były zapowiedzią oddania się zupełnego. I tak powzięła zwyczaj, opowiadania mu, gdzie myśli być nazajutrz z wizytami, lub w którym domu wieczór przepędzi; również wskazywała mu od niechcenia godziny, w których ją może zastać samą w domu; na balach, ponieważ nie tańczył, zostawiała dla niego tańce siedzące, czyli mówiąc inaczej: sposobność do sam na sam, pod zasłoną wachlarza, firanki, lub w cieniu liści palmowych w oranżerji. Ten stosuneczek sprawiał jej pewien niepokój, który ją zajmował, a wstrząsając jej nerwami, łudził ją, iż i serce w grze było. Krótko mówiąc, biedna, a tak szlachetna Joanna była bliską upadku najpospolitszego, gdy nowa osobistość wmięszała się w tę sprawę.

Była nią kobieta — stara nawet kobieta — hrabina de Lerne, matka owego Jerzego de Lerne, którego przed kilkoma laty, zranił był w pojedynku pan de Monthélin. Pani de Lerne, była zawsze kobietą bez zasad, ale i bez złośliwości, chociaż pełną dowcipu. Miała ten wielki rozum, iż nie została na starość dewotką, będąc za młodu więcej niż zalotną. Jej wybaczliwość dla słabostek, które dobrze znała, wiecznie humor wesoły, dobre częstokroć rady, jej stosunki majątkowe i familijne, mimo nie zatartych wspomnień o jej burzliwej młodości, jednały jej sympatję ogólną. Salon jej był bardzo uczęszczany, gromadziła w nim ludzi dynstyngowanych, polityków, literatów, artystów. Do nich dołączała dla ozdoby, kilka ładnych kobiet. Joanna de Maurecamps ze swoją pięknością pierwszorzędną, i bezwiedną wyższością, była wabikiem najpotężniejszym dla tegoż salonu, to też stara hrabina rozpływała się nad nią, obsypując młodą kobietę grzecznościami i zręcznemi pochlebstwami, byle ją tylko przyciągnąć, i w salonie swoim zatrzymać. Działała w ten sposób z dwóch przyczyn: jedną myślą, do której mogła przyznać się głośno, była chęć dodania blasku i uroku swojemu salonowi; drugą, nie bardzo zgodną z zasadami moralności, którą jednak pieściła w skrytości serca od dawna, była chęć, aby pani de Maurecamps została po prostu kochanką jej syna.

Przed kilku laty straciła swojego syna starszego, Alfreda de Lerne; młodszy, Jerzy, wychodził właśnie ze szkoły *Saint-Cyr*, gdy brat umarł. Widząc matki osamotnienie, wziął dymisję, i przy niej zamieszkał. Był to młody człowiek, niesłychanemi zdolnościami obdarzony, i byłby mógł talenta wrodzone posunąć do doskonałości. Malował wcale ładne akwarelle. Był jednak przedewszystkiem biegłym muzykiem, a niektóre jego kompozycje, walce, kołysanki i symfonje, znajdowały powszechne uznanie. Czy to przez lenistwo, czy też zniechęcony, iż zepsuł sobie tak wcześnie, zamierzoną karjerę wojskową, dość na tem, został li dyletantem, a w dodatku zaczął się po trochę lampartować. Z wyjątkiem u matki, prawie nigdzie w lepszych towarzystwach nie bywał, których nie lubił, a za to widywano go bardzo często w owym pół-światku, wśród którego zdawał się być zupełnie w swoim żywiole. Pani de Lerne, trzeba jej oddać sprawiedliwość, pomyślała najprzód o ożenieniu dla syna, znalazła w nim jednak, co do tej sprawy, taki opór niezłomny, iż powzięła myśl, wplątać go w stosunek miłośny, z kobietą przyzwoitą, któryby go odwiódł przynajmniej od złego towarzystwa. Od dawna chwalebny ten zamiar utknął na pięknej Joannie, której klęska małżeńska, nie uszła bacznemu oku, starej, doświadczonej kobiety. Nie wdając się ze synem w żadne co do tego drażliwe i niestosowne wyjaśnienia, starała się ile możności, podsuwać mu pod oczy, tę istotę czarującą, chwytając w lot każdą sposobność, aby zwrócić syna uwagę, na wszystkie tej kobiety doskonałości. Jerzy de Lerne jednak, chociaż widocznie olśniony nadzwyczajną pięknością Joanny, i uderzony wyższością jej umysłu, nie okazywał jej dotąd nic więcej, prócz obojętnej i jakby roztargnionej ciekawości. Wtedy to hrabina, która Joannę z oka nie spuszczała, widząc ją gotową, wpaść w szpony pana de Monthélin, pokusiła się o krok stanowczy, heroiczny w tej sprawie, trochę przez miłość dla syna, a więcej

jeszcze przez nienawiść dla człowieka, który o mało nie został tegoż syna zabójcą.

Pewnego ranka, napisała do Joanny, uprzedzając ją, iż jeżeli nie będzie odproszoną, przyjdzie około trzeciej, gdyż ma powierzyć Joannie coś ważnego i przyjemnego. Joanna, trochę zdziwiona, tym tonem tajemniczym, obiecała czekać w godzinie umówionej. Hrabina weszła do jej buduaru, a za nią lokaj wniósł na rękach jedną z owych prześlicznych budek, które dziś są tak w modzie; jest to koszyczek, spleciony misternie z trzciny różnokolorowej, ozdobiony aksamitem, frenzlami, kutasikami, a przeznaczony jako domek dla małych piesków. Sama zaś hrabina trzymała w objęciu z czułością macierzyńską maciupciego pieska, z włosem długim, jak jedwab miękim, prawdziwą miniaturkę bobończyka białego, pochodzenia — jak utrzymywano — meksykańskiego, a który wzbudzał podziw i zazdrość, u znawców prawdziwych.

— Moja piękna — rzekła pani de Lerne — przyznałaś mi się, iż jesteś w Toby zakochaną... pozwól więc, abym ci go na własność oddała.

— Ale czyż to podobna?! — zaprotestowała żywo pani de Maurecamps.

— Namyślałam się oddawna — zaczęła znowu pani de Lerne — czem bym mogła się odwdzięczyć, istocie młodej, zachwycającej, jaką ty jesteś, iż okazuje się tak miłą, dobrą, tak wierną dla starej przyjaciółki... To coś tak rzadkiego... rozczulasz mnie, do głębi rozczulasz!... Szczęśliwą jestem, iż znalazłam coś godnego ciebie, i co się tobie podobało, nader szczęśliwą, bądź przekonaną!

Joanna wprawdzie nie mogła sobie całkiem dokładnie przypomnieć, kiedy to miała okazać taką namiętną miłość do Toby'ego, nie mniej jednak żywo odczuła, całą wartość ofiary dla niej poniesionej.

— Ah! pani!... kochana pani! — odrzekła wreszcie zawstydzona i pomięszana — ale jakżeż przyjąć coś podobnego!... to stworzeńko, takie śliczne, takie nadzwyczajne... tak wielka ofiara!... O! mój Boże!... i ta budka przecudowna... Nie, doprawdy!.. — I nie wiedząc jakich już słów dobierać, luba kobiecina rzuciła się w końcu na szyję pani de Lerne, co spowodowało pana Toby'ego do objawienia złego humoru głośnem zaszczekaniem.

— Chodź, moja śliczotko! — Joanna porwała z uniesieniem pieska na ręce i osypała go namiętnemi pieszczotami i pocałunkami.

Usiadły, a pani de Lerne, odpowiadając na pytania Joanny, wtajemniczała ją, jak ma żywić, jak pielęgnować Toby'ego, a nawet w razie niedyspozycji, jakich ma leków dla pieska używać. — Spytała wreszcie o zdrowie pana de Maurecamps.

— Nie wiem właściwie, po co zadaję to pytanie — roześmiała się hrabina. — Dość spojrzeć... zdrowie tryska z niego wszystkiemi porami!... przepyszny mężczyzna... okazały!... przyjemność prawdziwa popatrzeć na kogoś podobnego!...

— A syn pani, jakże się miewa? — wtrąciła Joanna nawzajem.

— Mój syn?... Ah! on, to wcale co innego... natura delikatna! wiesz przecie?... Dusza artysty!... Zresztą, gdyby tylko tyle było nieszczęścia!

— Jest przecie bardzo dobrym synem — szepnęła nieśmiało pani de Maurecamps.

— Oh! niezawodnie, że jest dobrym synem, to nie podpada wątpliwości!... Aha! powiedz mi moja piękna, czyś wolna jutro? To moja środa... nie chciałabyś zjeść objadku z nami? Zejdziesz się z twoją przyjaciółką panią d'Hermany...

— Chętnie... myślę iż pan de Maurecamps, nie ma na ten dzień żadnego projektu...

— Doskonale!... a więc liczę na was obiedwie.

I pani de Lerne powstała, jakby była na wychodnem, wprzód jednak, zaczęła żegnać się z Toby'm, co dało powód ze strony Joanny, do nowych zapewnień wdzięczności bez granic... Wreszcie wyszło z ust Joanny słowo dawno przez panią de Lerne oczekiwane, a na które byłaby ją sama w razie potrzeby wyciągnęła:

— Mój Boże! Cóżbym ja mogła uczynić nawzajem, aby pani sprawić przyjemność?

Pani de Lerne odwróciła się nagle do niej, a patrząc jej w oczy z dobrodusznym uśmiechem staruszki:

— Ożeń mi syna! — odrzekła.

— Ah! tylko tyle! — zawołała wesoło pani de Maurecamps. — Jest to zadanie, do którego nie czuję się bynajmniej uzdolnioną!

— I dla czegoż? — prowadziła dalej rozmowę, w tym samym tonie pani de Lerne. — A ja właśnie sobie wyobrażam, iż nikt nie jest do tego zdolniejszym od ciebie.

Joanna tym razem w milczeniu obrzuciła staruszkę wzrokiem pytającym.

— Tak, tak, na prawdę — zaręczała pani de Lerne. — Jestem przekonaną, iż wziąłby chętniej żonę z twojej ręki, niż z każdej innej.

— Ale cóż znowu za żarty, droga pani? — zarumieniła się Joanna, patrząc na nią ze zdziwieniem, coraz wzrastającem.

— Ani mi w głowie żartować... i gdybyś miała siostrę do ciebie podobną, ręczę iż sprawa byłaby w jednej chwili ubitą.

— Doprawdy, nie rozumiem — szepnęła mięszając się coraz bardziej Joanna. — Syn pani zna mnie tak mało...

— O! przepraszam... bardzo przepraszam... zna cię doskonale... mój syn to rodzaj badacza, a ma wzrok bystry, i pogląd jasny... wiem na pewno, iż ocenia cię należycie... o tem nie ma co i mówić... Jestem również przekonaną, iż co do kwestji małżeńskiej, mogłabyś wywrzeć na niego wpływ wielki, ale to bardzo wielki... i gdybyś mu poddała, przypuśćmy, jaką dobrą znajomą, jedną z twoich przyjaciółek, ręczę, iż poszedł by do ołtarza z oczyma zawiązanemi, na proste twoje słowo, wierzaj mi!

— Ależ ja temu nic a nic nie wierzę! — zaprotestowała energicznie pani de Maurecamps.

— A ja jestem tego pewną... Spróbój tylko a zobaczysz!

Zaczęły śmiać się obiedwie.

— Nie, na serjo! — zagadnęła hrabina — pomyśl że przecie o tem... Przejdź w myśli twoje znajome, twoje przyjaciółki... Ah! oddałabyś mi przysługę nie lada!

— Najprzód, muszę pani szczerze wyznać — uśmiechnęła się Joanna — iż boję się okropnie pana Jerzego.

— Ejże! — wykrzyknęła hrabina, niby w osłupieniu.

— Niezawodnie!... ma minę taką drwiącą... dowcip jego taki gorzki, tak uszczypliwy... no i wreszcie...

Młoda kobieta urwała, trochę zakłopotana.

— I wreszcie, jest to lampart wierutny, nieprawdaż?

— Mój Boże! Nic nie wiem!... to przecież do mnie nie należy...

— Tak, jest skończonym lampartem, ale jak wszyscy prawie jemu podobni ma serce złote — i wzwyż tego najmilszy w świecie hultaj!... Ah! wierzaj mi moje drogie dziecię, popełniłabyś uczynek miłosierny, gdybyś mi dopomogła uwolnić go z pazurków tej Lucy Maury... wiesz zapewne, iż teraz pana Lucy Maury jest na porządku dziennym...

— Czy tak?...

— Tak, tak... ta z opery, co to paziów przedstawia!... to okropność, okropność, moje biedne dziecię!... doświadczysz kiedyś tego samego z twoim panem synem. Tymczasem staraj się mojego wyswatać, będzie to ślicznie z twojej strony... a powtarzam ci raz jeszcze, że jeżeli kto na świecie mógłby tego cudu dokazać, to chyba jeszcze ty jedna. *Adieu* moja piękna!

Ucałowała ją w oba policzki i na progu już będąc, powtórzyła z naleganiem:

— Wszak wspomnisz mu o tem dziś wieczór, bodaj w dwóch słowach, co?

— Ha! Spróbuję — rzekła Joanna.

Hrabina de Lerne wyszła nareszcie, uszczęśliwiona z wyprawy.

I mogła być zadowoloną: gdyż pierwszy raz od kilku miesięcy wyobraźnia Joanny zajmowała się kim innym, nie panem de Monthélin. Wiedziała doskonale, co jej chciała dać do zrozumienia pani de Lerne, przez zręczne insynuacje, i przestanki nader znaczące, mianowicie: iż Jerzy de Lerne, jest jej gorliwym wielbicielem. To ją dziwiło i mocno intrygowało. Jakim cudem? Dla czego? Zkąd związek pomiędzy nimi? Nic tego nie rozumiała. — Położyła się na szezlongu i zaczęła szukać po głowie, kiedy i gdzie spotykał się z nią, o czem z nią rozmawiał, jaką miał wtedy postawę, i jaki wyraz w oczach? — aby znaleść w tych drobnych szczegółach, coś, coby potwierdzało zwierzenia tajemnicze starej hrabiny. To było prawdą, iż ten wysoki młodzieniec, zimny, drwiący i znudzony, działał na nią niekorzystnie; skoro zbliżał się do niej w salonie, czuła się jakaś nie swoja i zaniepokojona. Zdawało jej się jednak, iż miał dla niej pewną wyłączną, rycerską uprzejmość, że z nią mówiąc nie pozwalał sobie nigdy owych żartów sarkastycznych, których innym kobietom bynajmniej nie szczędził. Cieszyła się myślą, iż ją szanuje ten libertyn. Stanął przed oczami jej duszy, z tem pięknem, bladem obliczem, o wyrazie zmęczonym i dumnym, z wzrokiem przenikającym, z licem, cokolwiek zapadłem, z wielkiemi, długiemi wąsami spadającemi *à la tartare*. Uśmiechnęła się, iż wobec tego jegomości, który był postrachem jej lat młodociannych, ma wystąpić w roli protekcjonalnej, niemal macierzyńskiej, powiedziała sobie jednak równocześnie, iż nigdy do podobnej z nim rozmowy nie znajdzie dość odwagi.

Gdy tak zapadała w coraz głębszą zadumę, głaszcząc białą rączką długie uszy Toby'ego, portjera się odchyliła i na jej tle pojawiła się piękna postawa i bokobrody krucze pana de Monthélin.

Maleńki Toby, który nigdy nie widział rekina salonowego — pan de Monthélin, ma się rozumieć nie bywał u hrabiny de Lerne — wziął go widocznie za jakiegoś złoczyńcę, mimo tego jednakże, okazał, że go się wcale nie boi! Zeskoczywszy z kolan swojej pani, i ujadając straszliwie, stanął przed nią w pozycji nie tylko odpornej, ale nawet zaczepnej, gdyż kilka razy naprzód się wysunął, atakując śmiało nogi przeciwnika. Nic nie może więcej rozstroić i popsuć szyki kawalerowi przychodzącemu w pewnych zamiarach do młodej kobiety, niż właśnie śmieszne *intermézzo* w tym rodzaju. Joanna de Maurecamps, filutka jak każda inna, a nawet sprytniejsza od innych, zagryzała usta, aby nie parsknąć śmiechem, na widok uderzającego kontrastu, między miną słodziutką i umiloną, której nie chciał porzucić pan de Monthélin, a niepokojem, którym go napełniały wściekłe ataki Toby'ego. Tak więc Toby, jak gdyby był w porozumieniu z panią de Lerne, wielce się przyczynił, w całej swojej maleńkości, do urzeczywistnienia tejże planów. Po wstępie podobnym zrozumiał pan de Monthélin, iż scena miłośna była czystem niepodobieństwem. Tego więc dnia, zadawalniał się jedynie lekkiemi napomknieniami i wycieczkami w dziedzinę uczucia, przy nastroju oczów i głosu, wielce melancholijnym, i ograniczał się na karesowaniu z przyzwoitą ostrożnością Toby'ego, skoro tegoż nie mógł na razie udusić.

(C. d. n.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy).

Jadwiga słuchała tych słów w osłupieniu. To, co przed nią z taką szorstką otwartością odsłaniano, odczuwała już nieraz w stosunkach coraz częstszych z matką Edmunda, szczególniej ostatniemi czasami; nie umiała sobie jednak zdać sprawy, czem to było właściwie.

— Nie mogę się dotąd uskarżać na moją przyszłą

świekrę, — odrzekła z pewnem wahaniem. — Jest dla mnie grzeczną i uprzedzającą...

— Czy i serdeczną?

Młode dziewcze zamilkło.

— Nie myśl pani, iż moje własne stosunki uprzedzają mnie w sądzie, który wydaję o mojej stryjence. — Oswald znowu przemówił. — Nie radbym siać niezgody i podejrzenia, gdyby nie silne przekonanie, iż zbytna ufność, zgubić panią może. Grunt to wulkaniczny, po którym stąpać będziesz w Ettersberg, trzebaż przynajmniej teren naprzód zrekognoskować. Matka pani również musiała wywalczyć sobie szczęście domowe, lecz ona w tej walce miała silną pomoc i dzielnego obrońcę w twoim ojcu. U pani, walki te po ślubie dopiero zaczną się, uniknąć ich atoli nie możesz, skoro raz wstąpisz w to koło zaczarowane przesądów i uprzedzeń arystokratycznych, z którego matka twoja gwałtem się wyrwała. A czy Edmund będzie wtedy dla pani dość silną podporą, to dopiero przyszłość pokaże. Zawsze bezpieczniej liczyć tylko na własne siły. Jeszcze raz błagam panią, nie dopuść, aby matka pod jednym dachem z wami mieszkała. Edmund musi od tego odstąpić.

Jadwiga potrząsła głową:

— Zadanie nader trudne... — szepnęła — prawie niepodobne! Edmund matkę tak bardzo kocha...

— Więcej niż narzeczonę! — przerwał jej Oswald, silny nacisk kładąc na te słowa.

— Panie Ettersberg!

— Czujesz się pani boleśnie dotkniętą. Tak, prawda, gdy ją się nie umie owijać w bawełnę, zawsze gorzką bywa. Muszę jednak na grożące ci niebezpieczeństwo otworzyć pani oczy. Dotąd bawiłaś się jedynie miłością Edmunda, i on również, uważając panią jako piękne cacko, igrał z tobą i przekomarzał się, głębsze porywy swojej natury dla matki zostawiając. Hrabina była rada temu, i dopomagała pani wszelkiemi siłami. Pani nie znasz Edmunda. Potrafi on coś więcej, niż śmiać się i żartować. Pozornie wygląda trochę na letkiewicza, lecz w głębi jego serca są drogocenne perły ukryte, uczucia namiętne i najszlachetniejsze. Matka umiała je ztamtąd wydobyć i sobie przywłaszczyć. Odbierz pani zawczasu, to, co się tobie należy. D z i ś jeszcze twoje. Otacza cię urok pierwszej młodocianej miłości Edmunda, upaja go woń kwiatu, którego dotąd nie zerwał. Korzystaj więc z przewagi, którą masz jako narzeczona. Jutro mogłoby być dla ciebie za późno.

Mówił poważnie, i ze zwykłą sobie nieoględnością. Każde słowo padało na serce młodej dziewczyny, niby kropla ołowiu roztopionego. Co prawda, słowa te nie pochlebiały jej wcale. Przed kilkoma miesiącami, byłaby w swojej pewności i zarozumiałości, wydrwiła bez miłosierdzia podobne przypuszczenia, i z wyniosłą dumą na nie odpowiedziała; dziś atoli słuchała cierpliwie, ze spuszczoną główką, w głuchem milczeniu. Miał słuszność, czuła to dobrze, ale dla czegoż owe rady, i owe powątpiewania o przyszłem jej szczęściu przy boku Edmunda z jego ust wyjść musiały?

— Pani milczysz? — spytał Oswald daremnie oczekując odpowiedzi. — Nie możesz mi darować, żem się wmięszał w tę sprawę nieproszony.

— Nie gniewam się bynajmniej. — Jadzia ciężko westchnęła. — Wdzięcznam nawet panu, gdyż wiem, ile są warte uwagi, które z pańskich ust wychodzą.

— I ile mnie krwi serdecznej kosztują? — chciał Oswald dokończyć, lecz stłumił siłą woli wyznanie niewczesne. Kto wie zresztą, czy i bez słów niedomyślano się czegoś podobnego.

Kiosk stał na wysokim pagórku. Pyszny widok u stóp jego się rozścielał, zakończony pasmem gór w dali siniejącem. Oczy młodych ludzi jednak spoczywały teraz, na granicy dwóch sąsiednich lasów. I tam był pagórek, na którym witały ich jaskółki, wiosny zwiastuny; od tego czasu całe lato ich oddzielało, ach! i tyle, tyle, oprócz tego!...

Wtedy był dzień zimny, wietrzny, ponury, liście i kwiaty drzemały w zimowych obsłonach, a jednak czuć było życie pod tą śmiercią pozorną, natura oddychała nadzieją odrodzenia; jaskółki szybkim lotem nad ziemią bujały, wydając radośne okrzyki powitania, znosząc materjał na przyszłe gniazdka.

Dziś, gdy po raz pierwszy od dnia owego znowu sami się znaleźli, czas był piękny, powietrze ciche, słońce jasno świeciło, a jednak wszystko już jesień zapowiadało. Drzewa dotąd gęsty liść okrywał, lecz jak na głowie bujnym, ciemnym włosem okrytej, połyskuje jeden i drugi włos siwy, zapowiadający zbliżającą się starość, tak i tu wśród zieleni dostrzedz można było kolory rozmaite: żółte, bronzowe, czerwoniawe. Na łąkach nie lśniły już kwiaty tysiącznemi barwami, sucha ścierń okrywała pola niedawno bujnem zbożem falujące, a jaskółki, które wtedy z taką dziecinną radością Jadwiga witała, ciągnęły długim sznurem, wysoko, wysoko w chmurach zawieszone, do krajów cieplejszych na południe. Hasłem dnia tego, było smutne słowo „p o ż e g n a n i e“ w naturze, jak i u tych dwojga młodych ludzi. Żegnali to wszystko co piękne, co miłe, co szczęściem się nazywa...

Jadwiga pierwsza odezwała się przerywając głuche milczenie, które po ostatnich jej słowach zapanowało:

— Jaskółki już odlatują — wskazała ręką w górę z ciężkiem westchnieniem — opuszczają nas!

— I ja pociągnę za niemi — Oswald dokończył — z tą jednak różnicą, że one wrócą z przyszłą wiosną, a ja odchodzę... na zawsze!

— Na zawsze? Przecież odwidzisz pan niekiedy Ettersberg?

W zapytaniu był jakby lęk i rzewność zarazem. Oswald spuścił w dół oczy.

— Wątpię, abym mógł to kiedy uczynić. Nie będę miał czasu i w ogóle... kto tak jak ja zrywa gwałtownie mosty za sobą, najlepiej robi, jeżeli przez dłuższy czas przynajmniej, unika stosunków, w których żył przedtem.

Edmund nie chce tego przyznać. On dotąd nie zna ciężaru raz przyjętych obowiązków.

— I Edmund zastanawia się poważnie nad niejednem — wtrąciła z urazą Jadwiga. — Teraz naprzykład, nie uwierzyłbyś pan, ile się troszczy twoją przyszłością.

Pogardliwy uśmiech osiadł na ustach Oswalda.

— Tej troski mógłby sobie oszczędzić! Nie należę do rzędu ludzi, którzy porywają się lekkomyślnie do zadania nad siły, a potem wpół drogi opuszczają ręce zrozpaczeni i bezwładni. Co przedsięwezmę, z pewnością potrafię przeprowadzić, a w każdym razie zrzucę z siebie jarzmo niewoli i hańbiącej zależności!

— Panie Ettersberg! — szepnęła z wymówką Jadwiga. — Jesteś przecie bardzo niesprawiedliwy dla twoich krewnych!

— I niewdzięczny! — Oswald z goryczą uzupełnił. — Musiałaś pani słyszeć to nieraz od mojej stryjenki. Może i miała słuszność, wychodząc z jej punktu zapatrywania się na tę sprawę. Może kto inny byłby mógł znieść rolę podobną, jaką mnie narzucić chciano, ja zaś nigdy tego nie umiałem. Pani nie możesz pojąć, co to znaczy, uginać wiecznie karku przed cudzym despotyzmem, gdy mamy już poczucie własnej woli i gdyśmy już dojrzali umysłowo, gdy każdy nasz żywszy poryw, każde pragnienie, wzniesienia się po nad poziom codzienny, jest naprzód zgnieciony, spętany i za bunt uważany przeciw narzuconej nam władzy. Nie wolno w takich stosunkach ust otworzyć, nie wolno stanąć we własnej obronie! Wiem, że moja przyszłość niepewna, droga którą sobie obrałem, pełna cierni i zawodów; wiem, że będę musiał stoczyć z losem ciężką walkę o chleb codzienny. Wytężę wszelkie siły aby wyjść z niej zwycięzko, a jeżlibym nawet uległ, to zginę, lecz człowiekiem wolnym, od nikogo nie zależnym, nie będącym na niczyjej łasce i nie potrzebującym dźwigać narzuconego mu ciężaru dobrodziejstw, o które wcale nie prosił! Będę panem mojego losu, panem mojej przyszłości!

Przy tych ostatnich słowach wyprostował się z dumą, i z głębi piersi odetchnął, jakby się pozbył ciężaru, który mu dotąd oddech tamował. Jadwiga patrząc na tę postać wyniosłą, na tę energię malującą się w rysach ostro markowanych, teraz dopiero należycie zrozumiała, ile musiała cierpieć ta natura żelazna i nieugięta, w stosunkach przykrej zależności, mimo iż pozornie opływał we wszystko i taki sam przepych go otaczał, jak i ubóstwionego jedynaka, pana na Ettersberg'u. Komu innemu może by to wystarczyło; dla Oswalda stosunek podobny był torturą moralną.

— Czas najwyższy panią pożegnać — zaczął znowu Oswald tym razem głosem głuchym i złamanym. — Wszak po to tylko tu przyszedłem.

— Edmund na pewno oczekuje pana w grudniu — odezwała się Jadwiga wahająco. — Przecież musisz mu drużbować...

Spuściła oczy i drzącą ręką o drzwi się oparła.

— Mówił mi o tem i wiem, że jeżeli tego nie uczynię, weźmie to za brak uczucia, a nawet poczyta jako niewdzięczność z mojej strony. Ha! cóż robić! i to znieść potrafię!

— Więc nie dasz się pan uprosić i wcale na nasz ślub nieprzyjedziesz?

— Nie mogę!

Nic więcej nie dodał, żadnego tłumaczenia, któremu by i tak nieuwierzono. Zdaje się jednak, iż Jadwiga i bez słów zrozumiała boleść w tem krótkiem: „nie mogę“ ukrytą, gdyż zbladła jak chusta i usta jej kurczowo zadrgały. Cokolwiek bądź czuły te dwa młode serca, usta z niczem się nie zdradziły.

— Żegnaj mi więc panie Ettersberg! — Jadwiga drżącym głosem wyszeptała dłoń ku niemu wyciągając.

Porwał tę rączkę aksamitną, a wraz z namiętnym pocałunkiem, który na niej spoczął, spadły również dwie łzy palące na rękę Jadwigi.

Załkał głucho, a rzuciwszy jej jeszcze na pożegnanie:

— Nie zapomnij o mnie całkiem pani i... bywaj zdrowa na zawsze! — oddalił się szybko, jakby przed czemś uciekał.

Samą została. Rzuciła się w krzaki, drżącą ręką gałęzie rozsuwając, mimo iż dłoń jej ostre ciernie kaleczyły... może go jeszcze raz ostatni zobaczy!... Zapóźno... znikł na zakręcie drogi... Gdy gałęzie nazad się zamknęły, na głowę Jadwigi kilka zwiędłych liści upadło. Zadrżała do głębi na ten szelest złowrogi. Tak, tak, jesień szybkim krokiem nadchodziła. Minęła wiosna, choć zimna i zmienna częstokroć, ale pełna nadziei, pełna obietnic rozkosznych na przyszłość. Pusto i cicho było na okół... pusto i smutno w sercu młodej dzieweczki...

Nie płakała... Cicha i niema, z rękami na piersiach złożonemi, równie biała jak ściana, o którą stała oparta; szeroko rozwartą źrenicą goniła po niebie lot jaskółek, żegnających ją przeciągłym, smętnym tonem, niby echo jej własnego serca, które przed chwilą omal nie pękło słysząc te straszne słowa: „bądź zdrowa na zawsze!“

We dwa dni później, w dniu, w którym Oswald nieodwołalnie miał opuścić Ettersberg, hrabia Edmund nie był dotąd powrócił z owego polowania, o którem wspomnieliśmy wyżej, co chwila jednak go oczekiwano. Natomiast zjechał przed południem zupełnie niespodzianie baron Heideck. Wówczas, gdy obchodzono w Ettersberg podwójną uroczystość, umyślnie zademonstrował swoją nieobecnością, dopiero teraz, po dwóch miesiącach, zdecydował się na krótkie odwidziny. Mimo, iż zaręczyny były od dawna faktem dokonanym, nie obeszło się bez żywej sprzeczki z tego powodu między rodzeństwem. Wymówki brata, co do tej „niegodnej słabości“ — bo tak dotąd uważał pozwolenie udzielone przez matkę Edmundowi — tem lepiej trafiały, gdyż i sama hrabina w głębi serca, zaczynała poniekąd żałować, iż tak się „podejść“ dała.

Widocznie rozdrażniona i znękana, opuściła wreszcie brata i zamknęła się w swoim pokoju. Przed biurkiem usiadłszy, pocisnęła w szufladce bocznej tajemną sprężynę i z maleńkiej, doskonale ukrytej przegródki, wyjęła okrągłe, aksamitem oklejone pudełeczko. Rozmowa z bratem musiała wywołać dawne wspomnienia i odnowić rany przez czas zasklepione, które znowu były w związku z przedmiotem w ręku trzymanym. Aksamit wyblakły i oprawa starożytna pudełka, świadczyły, że nie jeden rok spokojnie w kryjówce przeleżało. Drżącą ręką otworzyła je hrabina i wpatrzyła się w miniaturę na kości słoniowej prześlicznie malowanej, wielkości dłoni. Musiały to być rysy dobrze jej znajome, gdyż powoli zmieniała się cała jej fizjonomia, przybierając wyraz zupełnie niezwykły i niecodzienny.

Hrabina zapadała w coraz głębszą zadumę, w stan dziwnego rozmarzenia, w którym duch odrywa się niejako od ziemi, od rzeczywistości, a przeszłość staje przed nami tak jasna, jakby to wszystko wczoraj się stało, rozsnuwa przed naszą wyobraźnią tęczowe obrazy rozkoszy i cierpień przebytych, wywołuje z grobu postacie drogie nam niegdyś i zdjąwszy z nich całun śmiertelny, stawia znowu żywe przed nami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

GENJALNY INŻYNIER

NOWELLA.

Przekład z angielskiego.

VIII.

Dwa lata upłynęły od tej chwili. Harold Vibart w pracy i nauce szukał zapomnienia, które nie przychodziło; natomiast przyszła sława, majątek i zaszczyty, ale to wszystko było mu obojętne. Przekonał się, że nic nie zdoła zatrzeć w jego sercu promiennego obrazu Liliany, widział ją wszędzie. Cierpiał, ale jak Spartanin krył w głębi duszy boleść i tęsknotę. Nieraz zrywał się do walki z tem uczuciem, mówił sobie, że w życiu człowieka są szlachetniejsze cele, wyższe dążenia niż miłość, która nie powinna zatruwać mu przyszłości. Przez chwilę zdawało mu się, że zwyciężył serce, śmiał się wtedy gorączkowo, nucił wesołe pieśni, rwał się do zabaw i rozrywek, ale bardzo krótko trwał ten bunt przeciw uczuciu. Uśmiech wnet konał na jego ustach, zamierała ochocza nuta pieśni i zgnębiony młodzieniec z rozpaczą załamywał ręce, czując się bezsilnym.

Jedna tylko rzecz przynosiła mu niejaką pociechę — codzień z niepokojem przeglądał dzienniki, szukając ogłoszenia o małżeństwie miss Liliany Andley, ale, nigdy nie znalazł o tem wzmianki. Czytał tylko, że piękna hrabianka jest królową każdego sezonu, słyszał o jej tryumfach, o wielbicielach, którzy napróżno składali jej hołdy, ale o jej małżeństwie nigdy nie wspomniano.

— Nikt nie jest godnym tej czarodziejki, — mówił Harold do siebie.

Sir Ryszard wkrótce po jego powrocie wyzdrowiał i osobiście mógł się zająć budową mostu na rzece Ulver; Harold nawet nie widział jak pięknie wygląda jego dzieło, gdyż od tej pamiętnej chwili, która złamała jego życie, ani razu nie był w zamku lorda Andley. Kochający opiekun musiał odkryć jego tajemnicę, nigdy bowiem nie wspominał mu o Ulverscroft, ani o miss Lilianie.

Młodzieniec chwilami szalał z rozpaczy, to znów słoneczny promień nadziei rozświetlał jak błyskawica głębię jego cierpienia. Przypominał sobie słowa hrabianki, łagodny dźwięk głosu, kiedy przyznała, ze dba o niego trochę... Wymawiał sobie, że powinien był rozdmuchać tę iskrę miłości, która zatliła się w jej sercu, powinien był wybłagać, wymódz na niej wyznanie, ale wtedy przychodziły mu na myśl stanowcze jej słowa: „To być nie może, nigdy, nigdy“!

Nieraz zadawał sobie pytanie, co by to było, gdyby ona wiedziała, że on jest synem prostego wieśniaka, i w ubogiej wychował się chacie? Z pewnością nie mówiłaby z nim tak łaskawie, nieraczyłaby nawet słuchać, z oburzeniem odwracając się od zuchwalca. Lepiej że nie wie — nie zniósłby jej pogardy.

Kiedy gorączkową pracą starał się stłumić cierpienie, cóż się działo z Lilianą? Hrabianka jak dawniej królowała w salonach, jak dawniéj urodą i powabem gasiła wszystkie piękności, otoczona tłumem wielbicieli, którzy słusznie mogli się uskarżać na jej dumę i nieprzystępność. Pod tą maską chłodu i wyniosłości bystre oko odkryłoby jednak cierpienie, które, jak robak ukryty w barwnym kielichu kwiatu, tajemnie nurtowało jej duszę. Od chwili poznania Harolda duma i miłość toczyły walkę w jej sercu. Z początku przed sobą nawet nie chciała się przyznać, że go kocha; ona miałażby pokochać inżyniera, człowieka pracy, należącego do innej sfery towarzyskiej, niższego od niej urodzeniem, majątkiem i stanowiskiem! Nie, to niepodobna, ona musi go zapomnieć, musi wydrzeć z piersi to nieszczęsne uczucie, które tam się wkradło niepostrzeżenie. Bladła jednak i smutniała, czując że z dniem każdym duma jej słabnie, a miłość i tęsknota z większą siłą ogarniają duszę.

Drugi rok mijał od pamiętnych dla obojga odwiedzin Harolda w Ulverscroft; inżynier zmienił się bardzo, schudł i pobladł, stracił zupełnie dawny humor, młodzieńczą żywość i swobodę.

Odkąd pokochał Lilianę, zapomniał prawie o starym domu rodzinnym — miłość stłumiła w jego sercu wszelkie inne uczucia. Co rok jednak posyłał rodzicom znaczną sumę pieniędzy, całe paki podarunków, okrzykiem radości przyjmowane przez matkę, Kasię i Desforda. Dzięki znakomitemu synowi, zamożność panowała w chacie Fraserów, którzy nie potrzebowali już pracować na swoje utrzymanie; ale przyzwyczajenie nie pozwalało im zmieniać życia. Tęsknili bardzo za wi-

dokiem dziecka, które zawsze o nich pamiętało; w sercu młodzieńca nie wygasła miłość synowska, ale był tak nieszczęśliwy, że wolał nie pokazywać rodzicom twarzy napiętnowanej cierpieniem.

Stan Harolda mocno zaniepokoił sir Ryszarda. Na lato wyjechali do Lulworth, ale widok natury jaśniejącej poetycznym blaskiem, zamiast ukoić, powiększył boleść młodzieńca, przypominając mu chwile spędzone w Ulverscroft.

W kilka dni po przybyciu do Lulworth, odwidził sir Ryszarda dawny jego przyjaciel, baron Charnwood, który był tak zachwycony Haroldem, że koniecznie chciał go zabrać z sobą.

— Jesteś pan bardzo mizerny, powinieneś koniecznie oderwać się od pracy i wypocząć trochę. Kupiłem niedawno ładną wiejską posiadłość, przyjedź do mnie na wakacje, zastaniesz kilka bardzo przyjemnych osób.

— Byłbym bardzo rad, gdybyś kilka tygodni spędził u barona — wtrącił sir Ryszard; — widzę żeś niezdrów, że ci potrzeba rozrywki.

— Chętnie pojadę, — rzekł Harold.

— A więc liczę na pana, — zawołał baron Charnwood — serdecznie ci dziękuję za twoję obietnicę, jestem pewny, że żona moja bardzo się ucieszy poznawszy pana. Kiedyż przyjedziesz? może we czwartek? dziś mamy poniedziałek.

— Dobrze — odrzekł Harold z uśmiechem — ale nie powiedziałeś mi pan, gdzie leży twoja posiadłość i jak się nazywa.

— Prawda, — przyznał lord Charnwood — co za roztargnienie! Mój majątek nazywa się King's Cliffe, leży w pobliżu miasteczka Holwood.

Harold drgnął. King's Clyffe! ależ on pamiętał doskonale tę miejscowość, gdzie nie raz bywał w dziecinnych latach; folwark Fraserów sąsiadował z gruntami dworskiemi, ojciec był obecnie dzierżawcą barona. To niepodobna, on tam niepojedzie. Byłoby mu przykro omijać dom rodziny i nie odwidzieć rodziców, z drugiej strony nie mógł wyznać arystokratycznym przyjaciołom, że jest synem prostego wieśniaka.

— Może zanadto się pospieszyłem, obiecując pana odwidzieć — rzekł z powątpiewaniem — zajęcia moje pewno mi na to nie pozwolą.

Ale baron nie chciał słuchać wymówek.

— Sir Ryszard powiedział, że potrzebujesz pan odpocząć i rozerwać się, musisz więc do mnie przyjechać na wakacje.

. . . .

Nie rozumiem twoich skrupułów, — perswadował później sir Ryszard — kiedy cię przybrałem za syna, położyłem za warunek, żebyś wziął moje nazwisko. Wszyscy się na to zgodzili.

— Wiem o tem, — odparł Harold — ale zawsze będzie mi to przykro...

— Bądź spokojny; w pięknym, wytwornym młodzieńcu, którym chlubiłby się niejeden książę, nikt nie pozna dawnego wyrostka w prostej, wiejskiej odzieży. Lord Charnwood jest moim przyjacielem, polubił cię niezmiernie, będzie ci uprzyjemniał pobyt w swoim domu, nie widzę zatem powodu, żebyś odrzucał jego zaproszenie. Życzę sobie żebyś pojechał, gotuj się więc do drogi.

Harold był posłuszny woli opiekuna.

W kilka dni potem siedział w wagonie i z rozkoszą oddychał wiejskiem powietrzem. Patrzył na znane dobrze okolice, przypominał sobie szczęśliwe lata dziecinne, spędzone wśród tych pól i lasów; słodkie rozrzewnienie ogarnęło jego serce. Przyszła mu na myśl matka, której był ukochanym pieszczochem, stary ojciec zawsze zajęty pracą, łagodny Desford i śliczna a żywa jak iskra Kasia, jedyna do figlów i zabawy. Jakże on był szczęśliwy w tej schludnej chacie rodzinnej! Ambitne sny i marzenia zawiodły go na inne drogi, gdzie czekała nań sława, dostatki i zaszczyty — ale szczęścia na niej nie znalazł.

— Życie bez miłości smutnem jest i bezbarwnem — pomyślał Harold — kto wie, byłbym może szczęśliwszy, gdybym nigdy nie opuszczał domu rodzinnego.

Przypomniał sobie ciemnowłosą figlarkę, małą Marysię Lyun, z którą lubił się bawić, kiedy byli dziećmi. Serdeczne i wesołe dziewczę nie byłoby go odtrąciło od siebie, nie byłoby przeniosło dumy nad miłość, jak ta arystokratka.

Pociąg zatrzymał się w małem miasteczku Holwood, które Harold uważał ze najpiękniejszą miejscowość na świecie — kiedy świat ograniczał się dla niego na folwarku ojcowskim i sąsiednich lasach bukowych.

Na stacji czekał powóz.

Lord Charnwood serdecznie powitał młodego gościa i zaprowadził go zaraz do żony, przedstawiając Harolda jako przyjaciela i ulubieńca swego.

— Mam nadzieję, że pobyt w naszym domu dobrze panu posłuży — uprzejmie rzekła baronowa — będziemy się starali uprzyjemnić panu wszystkie chwile.

Po krótkiej rozmowie lord Charnwood zabrał z sobą młodzieńca, który szczególną budził w nim sympatją.

— Chodźmy do ogrodu panie Vibart — rzekł do niego, — pogawędzimy trochę, a potem wrócimy do pałacu na herbatę.

Żywą zajęci rozmową, przechadzali się po ślicznym ogrodzie, pełnym najrzadszych kwiatów.

— Muszę też panu powiedzieć, kto u nas bawi obecnie; szczęśliwie zaiste trafiłeś, gdyż kilka dni temu przybyła tu najpiękniejsza panna w Anglji, a zarazem jedna z najbogatszych naszych dziedziczek; — prawda że to niebezpieczne połączenie?

— W istocie, — odrzekł Harold.

Serce mu silniej uderzyło. Dla niego jedna tylko istniała piękna kobieta na ziemi.

— Bawi także w naszym domu znakomity malarz, pan Holme i sławna śpiewaczka, lady Fayne, prawdziwa artystka, choć nigdy nie występowała na scenie.

— Któż to jest owa najpiękniejsza panna w Anglji? — gorączkowo zapytał Harold.

Lord Charnwood rozśmiał się żartobliwie.

— Podnieciłem jak widzę twoją ciekawość, panie Vibart; najpiękniejsza panna w Anglji, to miss Liliana Andley.

Harol musiał użyć całej potęgi woli, żeby nie krzyknąć głośno; uczuł zawrót głowy, w oczach mu się zaćmiło. Kilka chwil szedł w milczeniu obok barona, starając się zapanować nad wzruszeniem.

— Ostrzegam cię, mój młody przyjacielu, żebyś się miał na baczności i zabezpieczył swoje serce, gdyż miss Liliana nietylko jest najpiękniejszą, ale zarazem najdumniejszą dziewicą w Anglji.

Boleśnie dotknęły go te słowa. Ujrzał znów przed sobą cudne oblicze, pochylone nad niezapominajkami, słyszał okrutne wyrazy, któremi odtrąciła go na zawsze: „To być nie może, nigdy, nigdy!“

Lord Charnwood na szczęście nie zauważył jego pomięszania.

— To piękność bez skazy — mówił dalej lord Charnwood — czy widziałeś ją kiedy? Włosy koloru matowego złota, rysy starożytnej kamey, kształty greckiego posągu, a oczy — no, oczy trzeba widzieć, gdyż słowem opisać niepodobna! A przytem co za wdzięk, jaka powaga i dystynkcja; nie dziwię się, że ludzie za nią szaleją, ja sam przepadam za pięknemi kobietami — szczerze wyznał baron.

— Dlaczegóż więc za mąż dotąd nie poszła? — zapytał Harold.

Lord Charnwood nie spostrzegł bladości młodzieńca, nie zauważył dziwnej zmiany w jego głosie.

— Nie wiem; z początku ludzie utrzymywali, że hrabianka przez dumę nie chce iść za mąż, ale teraz mówią, że pokochała człowieka, którego nie może zaślubić; w każdym razie, to są tylko domysły i przypuszczenia, gdyż na pewno nikt nic nie wie, a miss Liliana nie zwierza się nikomu.

Harol po chwili milczenia zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

— Wyglądasz pan bardzo mizernie — zauważył lord Charnwood, kiedy się zbliżyli do pałacu — może wolałbyś pozostać u siebie?

Młodzieniec odpowiedział z uśmiechem, że w Lulworth nie chce się pozbywać towarzystwa pań.

O godzinie piątej podawano herbatę w saloniku lady Charnwood, gdzie zbierali się goście bawiący w pałacu. Była to śliczna, słoneczna komnata, z wielkiemi weneckiemi oknami, które o tej porze stały otworem, żeby do pokoju wpłynęło świeże powietrze z ogrodu, woń kwiatów, szmer fontanny i świegot ptaków.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

POGRZEB INDYJSKIEJ KRÓLOWEJ.

W Bangkok, stolicy państwa Siamu, dnia 16. marca pochowano z niesłychanym rzeczywiście przepychem najulubieńszą z żon królewskich, która jeszcze w czerwcu roku zeszłego utonęła z jedyną swą córeczką podczas przejażdżki po rzece. Dniem przed właściwym obchodem żałobnym zwłoki obu ofiar, złożone w trumnach z drzewa sandałowego, przeniesione zostały przez kapłanów i urzędników dworskich, do osobno w tym celu zbudowanego z wonnych drzew pałacu i ustawione na ogromnym stosie z takichże drzew wzniesionym. Królowa ubrana była w wspaniałe szaty krojem europejskim; królewna zaś miała na sobie strój krajowców, a obiedwie dostały do trumny najcenniejsze swe klejnoty. Przez całą noc służba dworska i oficerowie gwardji królewskiej trzymali straż przy zwłokach z płonącemi pochodniami w ręku. Następnego dnia rano, niezliczona rzesza kapłanów odprawiła modły żałobne przed stosem, na którym ustawiono dwa srebrne wiadra, napełnione wodą z świętej rzeki Gangesu, zaczerpniętą przez umyślne poselstwo królewskie. Po skończonych modłach przybył do przybytku żałoby król Chuan-Long w towarzystwie swoich braci i ministrów, odmówił przed stosem krótką modlitwę, po raz ostatni pożegnał się w serdeczny sposób z drogiemi zmarłemi i sam za pomocą pochodni, podpalił stos. Po opuszczeniu pałacu przez króla i cały orszak żałobny, służba dworska podłożyła ogień pod cztery jego węgły, tak, że zgorzał cały wraz ze stosem i złożonemi na nim zwłokami.

KRÓLOWA PIĘKNOŚCI.

Nakoniec wynalezioną została najpiękniejsza kobieta w Ameryce, której szukał jakiś impresario drogami najrozgłośniejszej reklamy. Wyznaczoną była suma 12.000 dolarów jako nagroda dla tej, której przysądzoną zostanie palma wdzięków; jednym z warunków było pokazywanie się publiczności po sześć godzin dziennie przez dwa tygodnie. Czterdzieści cztery konkurentek wystąpiło do współzawodnictwa i sąd przysięgłych jednozgodnie przyznał zwycięztwo Ludwice Montage i ogłosił ją królową piękności. Jest to Francuzka, brunetka z szafirowemi oczami, z profilem jakby zdjętym ze starożytnej kamey; liczy dwadzieścia siedm lat. Była przez niejaki czas figurantką w kilku teatrach, a niedawno poszła za mąż za autora dramatycznego p. Allen. Związek ten jak się zdaje niebardzo był szczęśliwy. Allen był zapamiętałym graczem, razu pewnego postawił na kartę swoją żonę przeciw sześćdziesięciu dolarom i przegrał ją. Ludwika Montage rozpoczęła obecnie objazd po Ameryce, gdzie będzie się pokazywać za pieniądze, a za trzy miesiące ma przyjechać do Paryża.

DZIELNY JEŹDZIEC.

Osobliwszy zakład rozegrany został w tych dniach w jednem z miast meklemburskich. Pewien rotmistrz, znany jako doskonały jeździec, podjął się w obec kolegów przesadzić z koniem nakryty do obiadu stół oficerski, a to trzy razy i innym za każdym razem koniem. Ustawiono więc duży ten stół w ujeżdżalni, z talerzami, butelkami i t. p. a dzielny jeździec przesadził go istotnie trzy razy, tak, że koń nawet nie tknął kopytem któregokolwiek przedmiotu. Za trzecim razem sztuka była tem większa, że rotmistrz jechał na koniu nieosiodłanym. Wygrany zakład 800 marek, posłużył do opędzenia kosztów bankietu na zastawionym już stole.

SZTUCZNE USZY!

Coś podobnego weszło dziś w modę...

Kobiety mające brzydkie uszy, kryją je pod puklami włosów, a w nich umieszczają ślicznie... fałszywe uszka!

Uszu takich we Lwowie dotąd nie widzieliśmy, acz w Paryżu jest ich już tysiące...

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.